

Mirosław Jamróz

Było sobie dwóch braci¹

Chciałbym opisać historię rodzinną, która miała się między dwoma braćmi. Braćmi stryjecznymi co popadli w biedę. Los im to zgotował, ale później się wspólnie obronili. Ja jestem prostym człowiekiem chorym na alkoholizm, a pomogłem schizofrenikowi. Mam za sobą historię więzienia i ludzkiej poniewierki. Kryminalista to nie znaczy zły człowiek tylko słaby charakter. Chciałem się poprawić i doszedłem do wniosku, że muszę pomóc bratu choremu psychicznie. Chcąc mu pomóc musiałem doszukać się swojego człowieczeństwa. Mój bliski kuzyn chorował 30-ci lat na schizofrenię. Po kolejnym pobycie w zakładzie zamkniętym jego stan przeszedł w schizofrenię katatonalną. Musiałem się nauczyć tego drugiego słowa, bo nie wiedziałem co mu naprawdę jest. Wiedziałem, że całe Życie był dobrym człowiekiem, więc chciałem zrobić coś dobrego dla niego. Moje lata odosobnienia w więzieniu zbliżyły mnie do tego nieszczęśnika. W dodatku ten kuzyn został osadzony w „psychiatryku” jako podsądny z wyroku prawa. Przebywał tam dwa lata i został całkowicie ubezwłasnowolniony. Każdy się od niego odciął więc ktoś musiał tak po ludzku wyciągnąć do niego pomocną dłoń.

Ja chciałem być dla niego serdeczny i pomocny. Jednak ni jak nie można było się z nim dogadać, bo nie mówił nic. Ani w nim mowy nie było ani żadnego myślenia. Pomimo to ja starałem się mówić różne rzeczy do niego, bo wiedziałem, że słyszy. Kiedyś sąsiadka miała 5-cio letniego synka, który nic nie mówił. Kiedy zacząłem się nim opiekować i dużo do niego gadałem to ten się odblokował po pół roku i zaczął rozmawiać. Wierzyłem, że tak będzie z kuzynem. Inni do niego trochę mówili i przestawali się nim zajmować, więc nic nie skutkowało. Miałem doświadczenie z malcem sąsiadki i pomogłem pomimo, że logopeda nie pomagał. Przy każdej okazji rozmawiałem z tym kuzynem, choć on milczał. Inni do niego tylko mówili, ale ja z nim rozmawiałem choć tylko w jedną stronę. Za niemowę trzeba myśleć podwójnie tak jakby mówił choć nie porusza ustami i w umyśle nie ma zdań. Ale to nie jest gadanie z lustrem, tylko z nieobecnym człowiekiem. Trzeba takich słowami sprowadzić na ziemię. To słowa są tym magnesem bo inaczej są oni zawieszani w pustce.

¹ Praca zajęła pierwsze miejsce w konkursie literackim Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego oraz Fundacji Komunikacji Społecznej zorganizowanego w ramach światowej kampanii edukacyjnej *Schizofrenia-Otwórzcie Drzwi* na najlepszy esej, reportaż lub opowiadanie pt. *Słowa mogą ranić, słowa mogą leczyć*, została opublikowana w 4 numerze czasopisma *DLA NAS* w listopadzie 2005 roku.

On wcale nie dbał o higienę, więc go goliłem i ścinałem mu włosy. Przy tych okazjach mówiłem mu dużo o ciele, żeby wiedział że w ogóle ma ciało. Mówiłem, że biorę ostrą, nową żyłkę i że może boleć. Raz go zaciałem specjalnie, żeby poczuł ból, bo on nie czuł nic i w ten sposób uświadomiłem mu, że żyje bo przecież leciała krew. Ocierałem mu buzię i mówiłem o życiu, że trzeba żyć skoro się oddycha. Raz też przytrzasnąłem mu nogę w drzwiach w sposób kontrolowany, gdyż znów był w stanie kiedy nie czuł nic. Później masowałem mu stopę mówiąc, że musi żyć, skoro ma na czym chodzić. Proste słowa musiały jakoś dotrzeć bo od tego czasu czasami chodził na spacer. Nawet zaczął myć nogi choć już nie był w stanie obcinać paznokci. W zimie kiedy wyszedł ode mnie z domu bez kurtki trochę specjalnie nie otworzyłem mu drzwi żeby pomarznął, bo wiedziałem że jego organizm nie potrafi czuć temperatury. Jak wszedł to go słowami jak w wojsku zmusiłem, żeby podrzucił węgiel do pieca i tłumaczyłem mu, że musi czuć mróz, bo inaczej się jeszcze przewróci i zamarźnie na śmierć. Z pół godziny mówiłem mu co to zima, bo on nie kojarzył, że są płatki śniegu i jest lód. Po rozgrzaniu przy piecu poszliśmy lepić bałwana. Wtedy dużo mówiąc, tłumaczyłem mu, że nie jest tak martwy jak ten bałwan, że jest żywym człowiekiem. Nie wiem ile do niego trafiało, ale z czasem zaczął ożywać i widzieliśmy pierwsze reakcje.

Podczas naszych codziennych spotkań okazywałem mu całe mnóstwo serca i szacunku co wyrażałem gestem braterskim, spojrzeniem. Trzeba umieć przekazać serce przez dotyk, przez głos, który działa choćby ktoś ich nie rozumiał. Trzeba tak postępować wobec chorego żeby widział jak dużo w tym troski i miłości. I cały czas mówić o tym co jest miłością. Taki ktoś i tak te słowa zapamięta, ale przypomni je sobie dopiero później. Ważne jest żeby czuł to co się do niego mówi, bo to pozwoli mu te proste słowa zapamiętać. Często po ostrzyżeniu włosów całowałem go po bratersku w czoło, aby wiedział, że strzyżenie skończone, bo tak by dalej siedział na krześle. Wtedy mówiłem, że już jest piękny a nawet przystojny. Choć minę miał bez wyrazu to czasami robił jakiś gest i ścisnął mi rękę, żeby pokazać mi, że dziękuje. Jak był u mnie w domu zawsze robiłem mu kawę, kanapki i mówiłem, że to specjalnie dla niego, żeby czuł się wyróżniony. Nikomu innemu nie usługiwałem bo miałem duży uraz psychiczny z usługiwaniem wyniesiony z więzienia.

Na różne sposoby mu udowadniałem, że jest cenną osobą opowiadając mu o tym jak ludzie go lubili kiedy był sprawny. Wiedziałem, że każde słowo jakie się mówi szczerze w końcu pobudzi jego myślenie. Chciałem postępować jak nauczyciel z ułomnym dzieckiem. W takich sytuacjach musiałem być jak równolatek, czyli myśleć jak by się było kilkuletnim dzieckiem i takiego języka używałem. W niektórych rodzinach znajomych były takie dzieci, a ja lubiłem się z nimi bawić i to samo stosowałem co do kuzyna. W więzieniu trzeba mocno

wysilać wyobraźnię i te praktyki przelewałem na kuzyna by zmusić go do wyobraźni. To się tak udawało, że czasami potrafił powiedzieć jakies jedno słowo lub nawet dwa. Zdań nie umiał jeszcze układać, ale czasami się sam chciał odezwać, bo jego wyobraźnia działała. To w sumie nie trzeba wiele słów, tylko trzeba umieć coś zasugerować, nawet rzeczy śmieszne i to działa. Wszystko musi pochodzić z głębi serca bo nawet katatonik to odbiera jak nie jest prosto z serca. Nigdy natomiast w użyciu mowy nie okazałem mu że się różni od innych, chociaż był kompletnym niemową. Szukałem sytuacji, żeby mógł cos mówić, więc graliśmy w karty. On nawet nie wiedział jakie trzyma karty w ręku i że gramy w tysiąca, ale musiał się w ogóle odezwać. On był tak niezdarny, że upuszczał karty z rąk – wtedy mówił przepraszam, ale to ja musiałem zbierać karty i wkładać mu je do rąk i wtedy pocieszałem go, że ma tak silne ręce, że może nimi nawet pracować, wymyślałem coś bzdurnego, że gdyby tylko chciał to by grał na fortepianie. On w to trochę wierzył, gdyż umysł dziecka wierzy we wszystko co mu się powie. Potrafił się cieszyć ze swoich rak tak bardzo, że Az się uśmiechał i cos mruczał pod nosem.

U mnie w domu często byli moi kumple z odsiadki. Byli to bardzo prości ludzie i pozwalali mi uczestniczyć we wszystkim co robiliśmy. To dzięki temu, że byli tak prości to sprawiało, że do niego trafiało co do niego mówili. Bo on z żadnym politykiem, artysta czy profesorem to by się na pewno nie dogadał. Przy większym towarzystwie starał się cos więcej wykrztusić z siebie. Nawet mu się udawało zbudować prawie całe zdanie. A oni go zachęcali do rozmowy tak, że z wielkim trudem, ale udawało mu się powiedzieć kilka zdań przez cały wieczór.

Najczęściej były to odpowiedzi na pytania. W przypadku tak ciężkiej katatonii jaka przechodził mój kuzyn każdy gest się liczy i jeszcze trzeba ten gest słowami popierać tak by uruchomić myślenie w umyśle, który śpi i nawet jest całkiem nieobecny.

Trudno mi jest spisać słowa, które otworzyły mojego kuzyna. Te słowa pełne były więzi braterskiej i miały dużo ciepła. Czasami musiałem być szorstki i trochę niegrzeczny dla kuzyna, bo uznawałem, że tylko szok może go pobudzić do działania. Te odruchy i tak były bardzo ludzkie, więc nie doznał przykrości, ale bardziej przykra jest obojętność. Jak byłem ostry to mogłem go zmusić do roboty przy prostych czynnościach. Pomimo że płakał pod takim przymusem to

I tak coś robił. Lepiej, że robił cos z bólem, niż miał cały czas leżeć w łóżku nieprzytomny. To moje postępowanie też dało pozytywny skutek, bo wkrótce on sam prosił, żeby dać mu cos do roboty i już mniej płakał przy tym. Jak razem pracowaliśmy, to zawsze gadałem mu o pracy jaka wykonujemy i jak ważne jest to żeby on chciał pracować. Często

robiliśmy różne rzeczy przy domu na świeżym powietrzu i wtedy słowa lepiej do niego trafiały niż te same mówione w domu.

To nie tylko sprawa lepszego dotlenienia, ale wolności, która chory człowiek czuje. Na spacerunku też się lepiej myśli, więc z kuzynem chodziłem na krótkie spacerki, bo tak on się bardzo szybko męczył. Jednak na każdym spacerze coś mu chciałem opowiadać, żeby miło leciał czas. Najczęściej mówiłem mu o rzeczach, które będziemy wspólnie robić jak wydobrzeje. Mieliśmy plany chodzić do lasu i smażyć kiełbasę, chodzić też na grzyby lub w lecie nad rzeczkę, żeby się pochłapać. Wtedy widziałem jak bardzo mu zależy, żeby być w końcu sprawnym i mieć siłę iść daleko w las. Próbował też sam mówić o ognisku, że nazbiera dużo patyków i te plany były w nim bardzo żywe. Sam po wyjściu z więzienia musiałem przełamać te obciążenia wzięte z długiej izolacji.

Osoba co jest w katatonii to gorzej niż więzienie, więc jak kuzyn już sporo wydobrzeał to pewien czas pomagałem mu przebić się przez skorupę, która go obrosła przez ponad dwa lata stanu zamknięcia w katatonii.

Myślę, że on i też ja do dzisiaj jesteśmy jak te dzieci co poszukują dobrych przygód i mają marzenia. Dzięki zaszczerpionym przeze mnie marzeniom u kuzyna po jakimś czasie on całkowicie wydobrzeał. Podaje adres do korespondencji tego mojego kuzyna, bo ja mam trzeci wyrok i w każdej chwili mogę siedzieć.